X. JAN ST. ŻAK

Z MOICH WSPOMNIEŃ

WŁOCŁAWEK 1909—1915

Głos Wiary — Weterynarz Gospodarczy

KSIĘGARNIA POWSZECHNA
W WŁOCŁAWKU

Dla biblioteki seminarium diecezjalnego w Sandomierzu
17. II. 1939 r.

X. JAN ST. ŻAK

Z MOICH WSPOMNIEŃ

WŁOCŁAWEK 1909—1915

Głos Wiary — Weterynarz Gospodarczy

Jego Ekscelencji
JKs Biskupowi Kubickiemu
X Jan St. Żak

45704

KSIĘGARNIA POWSZECHNA
W WŁOCŁAWKU

BIBLIOTEKA
Seminarium Duchownego Rzym.-Kat
w SANDOMIERZU.

00026345

Czcionkami Drukarni Diecezjalnej we Włocławku, ulica Brzeska nr 4.

GŁOS WIARY

I.

Początki. Redakcja. Administracja.

Z polecenia ks. biskupa Zdzitowieckiego wróciłem z Krakowa w końcu lipca 1909 r. do Włocławka. Jako pozbawiony probostwa Poczesny (niedaleko Częstochowy) przez ministra spraw wewnętrznych w 1907 r., a przez jenerał-gubernatora warszawskiego wszelkich praw stanu, nie mogłem otrzymać ani probostwa, ani wikariatu, nawet nie wolno mi było spełniać obowiązków kapłańskich. Pensji żadnej rząd rosyjski nie wypłacał od 1907 r., choć była bardzo skromna, bo wynosiła 300 rubli rocznie. Jakby na urągowisko pozbawionym kapłanom swych stanowisk Moskal pozwalał na odprawianie czytanej Mszy św. dla pociechy duchowej! (tichuju messu służit dla utieszenia duszi). Pozbawiali kapłanów wszelkich środków utrzymania, ale „opiekuńczy rząd" dbał o twoją duszę!... Wobec powyższego stanu rzeczy ks. biskup Zdzitowiecki polecił mi wydawać miesięczne pismo religijno-społeczne, abym miał pracę i utrzymanie, a Drukarnia Diecezjalna stałą robotę.

Ponieważ mnie, jako wysoce „niebłagonadiożnemu" (nieprawomyślnemu) rząd rosyjski na wydawanie pisma pozwolenia by nie udzielił, redaktorem dla rządu ks. biskup wyznaczył ks. Piotra Czaplę, spowiednika i profesora seminarium duchownego w Włocławku. On też wystąpił do gubernatora o pozwolenie i wkrótce je otrzymał. Jako „tytularny" redaktor-wydawca nie otrzymywał żadnego wynagrodzenia. Podpisywał a raczej drukowało się jego nazwisko od października 1909 r. do lipca 1911 r. Ja podpisywać miałem pismo jako kierownik literacki — prawo rosyjskie takiego stanowiska nie przewidywało, więc władze nie mogły mi tego wzbraniać.

Ustaliliśmy tytuł pisma: Głos Wiary, miesięcznik religijno-społeczny, 16 stron druku, na dobrym papierze, w miarę potrzeby z ilustra-

cjami, wymiar pisma jak obecna Kronika włocławska. Cena roczna bez przesyłki 36 kop., z przesyłką 60 kop.

Głos Wiary, jako pierwszy miesięcznik religijno-społeczny, w Królestwie przeznaczałem w pierwszym rzędzie dla tych, którzy żadnego pisma dotąd nie utrzymywali. Oprócz spraw religijnych, jak apologetycznych, liturgicznych, obszerniejszych żywotów świętych patronów polskich, życiowych intencji miesięcznych dla Żywego Różańca, nie pomijałem spraw społecznych i narodowych. Należało więc pisać jak najzrozumialej, przystępnie, unikając wyrazów obcych, techniczne i naukowe objaśniać. Kto pracuje uważnie między ludem i tak zwaną inteligencją, wie dobrze, jak często czytelnicy przekręcają śmiesznie wyrazy obce pomieszane w pismach niby to ludowych lub ascetycznych! Za wzór, jak należy pisać dla ludu, służyła i służyć może „Gazeta Świąteczna", którą każdy chętnie czyta i wszystko rozumie.

Do współpracy zgłosiło się kilkanaście osób. Kiedy jednak po kilku zebraniach nic konkretnego nie wyszło, ks. I. Radziszewski, ówczesny rektor Seminarium Duchownego w Włocławku, kolega mój i przyjaciel, powiedział mi, że zna tych „współpracowników" i jeżeli czuję się na siłach, że dam takiemu pismu radę, to najlepiej, gdy sam sobie wystarczę. Zastosowałem się całkowicie do tej cennej rady, gdyż zgłaszającym się chodziło głównie o honoraria autorskie, a ja nie mogłem być pewny, czy będzie z czego płacić. Nie gardząc życzliwymi radami, przystąpiłem sam do pracy i przez 5 lat do wybuchu wojny prowadziłem to pisemko.

Od siebie zwracałem się do kolegów-księży, do znajomych, posyłając okazowe numery z prośbą o przejrzenie i, o ile uznają takie pisemko za potrzebne i pożyteczne, o zamawianie większej ilości egzemplarzy. Odnosiło to skutek dobry.

Dopóki ks. Czapla nie otrzymał koncesji, wydawałem Głos Wiary jako jednodniówkę. Takich numerów ukazało się dwa: za sierpień i wrzesień, a cztery następne wyszły już jako pismo miesięczne. Na ogół odbierałem wiele uznania od czytelników i osób zajmujących się oświatą ludu, tym więcej, że to wydawnictwo nie wchodziło w drogę dotąd istniejącym, bo takiego nie było. Lecz przy tym systemie rozsyłania pisma przez ks. dziekanów rosły tylko należności Drukarni Diecezjalnej, a pieniędzy do kasy nic prawie nie wpływało. I nic dziwnego, księża dziekani nie byli przygotowani do tego. Mieli za wielkie dekanaty, nie mieli czasu, inni ochoty, zajmować się kolportażem pisma. Za papier i druk należało się już blisko 2 tysiące rubli.

Przedstawiłem wtenczas całą rzecz ks. biskupowi. Wyjaśniłem, że Głos Wiary, jako pisemko tanie, może się utrzymać przynajmniej przy

nakładzie 20—25 tysięcy egzemplarzy miesięcznie. Jedna diecezja nie da tej ilości. Należałoby rozesłać do wszystkich księży w Polsce po 2 numery z prośbą o łaskawe przejrzenie i, jeżeli uznają za pożyteczne takie wydawnictwo, o zaprenumerowanie dla swoich parafian według cen podanych pod nagłówkiem pisma. Projekt ten znalazł uznanie u ks. biskupa.

Wziąłem tedy do pomocy byłego organistę Sobczyńskiego z Kowala, którego znałem jako sumiennego człowieka, i razem z nim adresowaliśmy opaski do wszystkich księży proboszczów w całej Polsce. Do dwóch przesyłanych numerów Głosu Wiary dołączałem małą różową karteczkę z prośbą o przejrzenie z szumnym podpisem „Komitet redakcyjny Głosu Wiary". Wtenczas jeszcze nie używaliśmy wyrazu „Instytut", ale i to zrobiło swoje, choć tym komitetem byłem sam jeden i o mało nie odnosiłem koszów z Głosem Wiary na pocztę. Robota ta trwała przeszło 3 tygodnie, gdyż nadchodzącą prenumeratę musiałem sam zapisywać do książki kasowej i do książki prenumeratorów dla przyszłej administracji, której dotąd nie było.

Za tę wytężoną pracę największą było dla mnie pociechą i nagrodą, że przyszłość Głosu Wiary się ustalała. Oprócz licznych uznań od bardzo poważnych osób za staranne, trafne i na czasie redagowanie pisma, przez grudzień 1909 r. i styczeń, luty 1910 r. zebrała się niespodziewana ilość prenumeratorów na przeszło 35 tysięcy egzemplarzy. Finansowo stanął Głos Wiary na zupełnie pewnym gruncie. I mimo późniejszych szykan, kontrybucji, konfiskat, procesów sądowych, był zupełnie niezależnym.

Teraz mogłem w miarę potrzeby przyjmować do administracji potrzebnych pracowników. Miałem szczęście w doborze ludzi. Pracowali przez cały czas sumiennie i ochotnie, dopóki nie zawiesiłem pisma z powodu wojny. Wobec braku poczt i ruchu kolejowego, nie było racji wydawania pisma opłacającego się tylko przy wielkim nakładzie.

W ciągu tych pięciu lat Głos Wiary, według zdania osób poważnych, spełniał swoje zadanie, wzmacniając Wiarę, budząc miłość Ojczyzny w szerokich masach naszych rodaków, przygotowując ich do rozumnego czytania większych pism katolickich i szczerze polskich. Rozeszło się egzemplarzy przeszło dwa miliony!...

II.

Cenzura rosyjska. Kontrybucje. Konfiskata. Proces. Wyrok zesłania na Syberię.

Po kilku miesiącach, zawdzięczając życzliwości Duchowieństwa, wzrosło zainteresowanie się Głosem Wiary nie tylko wśród mas czytelników, ale i cenzura warszawska zwróciła pilną uwagę na to wydawnictwo, co było mniej pocieszające.

Do wojny w 1914 r. skład warszawskiej cenzury był następupujący: prezesem był Emmauski, zastępcą Włodzimierz Dragomirecki, do niego należały książki i miesięczniki religijne. Iwanowski, starszy cenzor, wtykał nos do wszystkiego. Do Trofimowicza należały dzienniki i tygodniki, również dział zagraniczny. Teodoridi opiekował się przesyłkami zagranicznymi.

Przez pięć lat pracy redaktorskiej, wydawniczej i księgarskiej, zmuszony byłem ze wszystkimi mieć do czyninia. W pierwszym roku pracując na terenie włocławskim, unikałem stosunku z cenzurą, dopóki mogłem.

Pierwsze wiadomości i rady od „radcy" Dragomireckiego, mieszkającego przy ulicy Nowy Świat 26, przywiózł redaktor „Homiletyki", pisma poświęconego kaznodziejstwu, a wychodzącego w Włocławku ks. M. Nassalski. Radca Draogmirecki pragnął mnie poznać, a tymczasem radził, abym zaprzestał pisać o szkodliwości alkoholu, nie nawoływał do czytania książek i pism, do organizowania się nawet w kółkach rolniczych, nie nakłaniał do zakładania szkół i uczenia dzieci itp. Najważniejszą jednak rzeczą było, abym mu płacił stałą pensję miesięczną od cenzurowania Głosu Wiary. Co do wysokości tej „daniny" należy się z nim osobiście porozumieć.

Przyjacielskich rad udzielonych przez zacnego dawniejszego mego profesora nie posłuchałem. Zwracał mi uwagę na to i ks. biskup. Ponieważ nie nakazywał, lecz tylko radził, nie zastosowałem się do tego, lecz tym więcej zwracałem uwagę na treść pisma, by się nie narazić na kontrybucję lub konfiskatę, jaką zwykł stosować Dragomirecki do opornych.

Mimo jednak czuwania, aby nie umieścić w Głosie Wiary coś niecenzuralnego — dawałem nawet do przejrzenia ks. prał. Karolowi Maxowi, który był bardzo ostrożny i innym — za niewielki artykulik, pomieszczony w numerze za luty 1910 r. pod tytułem: „Obrazek" nałożył Dragomirecki kary 250 rubli lub 2 miesiące aresztu.

W tym wspomnieniu z przeszłości jest mowa, jak powstaniec z 1863 r. przed wywiezieniem na Sybir otrzymał od matki obrazek, przedstawiający P. Jezusa, dźwigającego krzyż. Przejął się treścią tego obrazka i z poddaniem się woli Bożej znosił cierpliwie wszelkie doświadczenia, nie upadał na duchu, pracował, uczył się i wrócił szczęśliwie. Obecnie ten obrazek ma oprawiony w złoto, gdyż jemu zawdzięcza wszystko. Wiara i modlitwa jest najlepszą pociechą w każdym nieszczęściu [1]).

Nadmienić trzeba, że o powstaniach w tych latach można już było pisać artykuły, broszury i książki, o czym też w innych pismach, nawet ludowych pisano, a cenzura się temu nie sprzeciwiała. W tym czasie księgarnia Gebethnera i Wolffa w Warszawie wydała książki Reymonta „Z ziemi chełmskiej", ale dała za to cenzurze 800 rubli!... Do Głosu Wiary przyczepił się Dragomirecki, bom mu nie chciał płacić łapówki stałej i tak niepomiernie wysoką obłożył kontrybucją takie tanie pisemko, aby je zgnieść, zniszczyć od razu!... Apelacje od podobnych kar, zatwierdzanych na przedstawienie cenzora przez jenerał-gubernatora warszawskiego, nie odnosiły nigdy skutku, o tym wiedziałem dobrze, więc też z bólem serca wypłaciłem nałożoną karę policmajstrowi, aby nie narażać ks. P. Czapli na jakie nieprzyjemności, gdyż on figurował jako redaktor-wydawca Głosu Wiary.

Następny numer za marzec obłożony został także karą 250 rubli lub 2 miesiącami aresztu za intencję miesięczną dla Żywego Różańca [2]). Ogłosiłem o tym w kwietniowym numerze Głosu Wiary, aby czytelnicy wpłacali zaległą prenumeratę, gdyż płacić musimy od razu tak wielką sumę. Skutek był dwojaki: czytelnicy, a szczególniej ks. prob. Wacław Boratyński z Białotarska wpłacił na ten cel 300 rubli przez wiceregensa Seminarium Duchownego w Włocławku, ks. Piotra Kremera, obecnego profesora Katolickiego Uniwersytetu w Lublinie, i 150 rubli inni czytelnicy drobniejszymi ofiarami.

Dragomireckiemu nie wystarczyły te kary, bo nie poszły do jego kieszeni, więc kwietniowy numer Głosu Wiary — trzeci numer z kolei — za to ogłoszenie o kontrybucjach i za artykuł: „Mankietnicy w świetle prawdy" i wilki w owczarni [3]) obłożył 300 rublową karą, a prokuratoria numer skonfiskowała!...

---

[1]) W całości przytoczony w dodatkach Nr 1. [2]) Dodatek Nr 2. [3]) Dod. Nr

Prokuratoria wytoczyła z powodu tego artykułu w sądzie okręgowym proces o... bluźnierstwo (Bogohulstwo). Artykuł był napisany na podstawie głosów gazet, które przytaczałem. Dowodziłem, że mankietnictwo dąży do rozbicia jedności narodu polskiego pod względem wiary i przyłączenia do prawosławia.

Sprawa ta ciągnęła się przeszło trzy lata, aż do wojny. W sądzie okręgowym w Włocławku ks. Czapla dowiódł świadectwami lekarskimi, że był chorym i nawet w Włocławku nie mieszkał, więc na kierunek pisma nie mógł mieć wpływu. Ja zaś jako kierownik literacki, zastępujący redaktora nie mogę ujawnić autora artykułu, lecz odpowiedzialność całkowitą przyjmuję na siebie. Adwokat Papieski z Warszawy wyjaśnił, że choćbym chciał przyjąć odpowiedzialność na siebie, to chęć nie wystarczy, bo prawo nie przewiduje instytucji „kierownika literackiego" — jest on od tego, aby pilnował pisma od błędów literackich. Sąd okręgowy konfiskatę zniósł i nas obydwóch od odpowiedzialności uwolnił.

Prokurator jednak zaapelował do izby sądowej w Warszawie. Sprawę odkładaliśmy kilkakrotnie na podstawie tego, że jeden z nas nie podpisywał wezwania na rozprawę woźnemu — kosztowało to 3 ruble — a adwokat na tej podstawie prosił sąd o odłożenie sprawy, co też zawsze następowało. Jeden z nas z kolei jeździł na rozprawę, która nie dochodziła do skutku. Wreszcie zapomnieliśmy na kogo kolej odmówić podpisu, podpisaliśmy obydwaj i sprawa odbyć się musiała. Ks. Czapli adwokat bronił, jak poprzednio świadectwami lekarskimi, że jako redaktor był chory przez kilka miesięcy mieszkał poza Włocławkiem, więc wpływu na pismo mieć nie mógł. Prokurator zgadzał się z wywodami adwokata, uniewinnił ks. Czaplę od odpowiedzialności. Mnie za to przypomniał wszystkie wykroczenia polityczne, nienawiść do języka rosyjskiego, wprowadzanie nie tylko języka polskiego do aktów stanu cywilnego, do wszelkiej korespondencji z władzami rządowymi, ale nawet że wprowadziłem w 1905 r. w gminie Bujny powiatu piotrkowskiego urzędowanie w języku polskim, które trwało blisko rok. Dowodził, że artykuły „Mankietnictwo w świetle prawdy", „Wilki w owczarni" muszą być moje, bo tchną nienawiścią do Rosji i prawosławia, czym się w życiu odznaczałem. Tak się unosił, że mi pięścią wygrażał. Trzeba dodać, że sprawy o ten artykuł odbywały się przy drzwiach zamkniętych, jako gorszące, o bluźnierstwo. Przyznałem, że umieściłem obydwa artykuły sam na swoją odpowiedzialność. Broniąc mnie, adwokat powiedział tylko, że sama chęć być redaktorem nie wystarcza, a kierownika literackiego ustawa prasowa nie przewiduje, więc choćbym chciał za pismo przyjąć odpowiedzialność na siebie, prawo na to nie pozwala.

Był jednak przekonany, że sąd weźmie pod uwagę wywody prokuratora i ks. Czaplę uwolni. Polecił mi przed ogłoszeniem wyroku wyjść nie tylko z sali lecz i gmachu Izby Sądowej, by prokurator nie mógł mnie zaraz zaaresztować, gdyż rzeczywiście niepomiernie był na mnie wzburzony.

Jakież było moje ździwienie i przerażenie, kiedy po kilku minutach adwokat Papieski na ulicy oświadczył, że mnie Izba Sądowa uwolniła od wszelkiej odpowiedzialności, a redaktora ks. Czaplę skazała na zesłanie na Syberię na 2 lata!... W pierwszej chwili nie wiedziałem, co zrobić, gdyż ks. Czapla był już tak zdenerwowany, iż obawiałem się tego, gdy mu będę zmuszony powiedzieć o wyroku. U adwokata przypomniałem sobie, gdyśmy zaczęli mówić o pisaniu kasacji do senatu w Petersburgu, iż w Krakowie na uniwersytecie kolegowałem z niejakim Olszamowskim, bardzo solidnym młodzieńcem, którego ojciec jest w Petersburgu słynnym i wpływowym adwokatem. Papieski znał Olszamowskiego; powiedział od razu, że jeżeli on podejmie się tej sprawy, to z całą pewnością Senat skasuje wyrok Izby Sądowej, poleci na nowo sądowi okręgowemu ją rozpatrzeć, a w tych wypadkach wyrok bywa wtenczas bardzo łagodny.

Tak też się stało. Olszamowski z całą życzliwością odpowiedział mi natychmiast, sprawy podjął się bezpłatnie i skasowanie wyroku w Senacie przeprowadził. Sąd okręgowy w Warszawie w czerwcu 1914 r. skazał ks. Piotra Czaplę na 50 rubli kary, które dla uspokojenia byłego redaktora zaraz wpłaciłem policmajstrowi. Mnie skazano na 150 rubli. Ponieważ wojna wisiała w powietrzu, dałem policmajstrowi 10 proc. tej sumy nawet bez pokwitowania, a reszta przepadła,gdyż nareszcie cenzurę rosyjską i sądy i policmajstrów licho wzięło!...

Sprawa ta, zawdzięczając Dragomireckiemu, kosztowała Głos Wiary około 2 tysięcy rubli, to jest 10 tysięcy złotych.

„Radca“ Włodzimierz Dragomirecki mimo ciągnącej się sprawy w sądach o Głosie Wiary nie zapomniał. Jeszcze raz naznaczył kontrybucji na to pisemko 300 rubli lub 2 miesiące aresztu za umieszczone w majowym numerze 1911 r. trzy notatki: „Usunięcie proboszcza“, „Wydalenie księdza“ i „Z Podlasia“. (podane w Dodatkach).

III.

Konfiskata Głosu Wiary na poczcie.

Numer 4 Głosu Wiary w 1910 r. z artykułem: „Mankietnictwo w świetle prawdy“ nie tylko obłożony był karą 300 rubli, lecz został skonfiskowany w redakcji wieczorem przez policmajstra z nakazu jenerał-gubernatora. Przy konfiskacie tej nie byłem nawet.

Co prawda, nie wiele zostało egzemplarzy w wysyłalni, gdyż zwykle do cenzury egzemplarze wysyłało się na końcu. Było wszystkiego coś około 2 tysięcy, leżały pod stołem i tych policmajster nie zauważył, zabrał tylko ze stołu 200 egzemplarzy.

Gdy publiczność dowiedziała się z gazet o konfiskacie Głosu Wiary, wielu ludzi żądało tego numeru w większej ilości nie tylko piśmiennie, lecz nawet telegraficznie. Przez tydzień zastanawialiśmy się nad tym, co zrobić, gdyż za rozsyłanie skonfiskowanego pisma groziła wielka kara.

Po naradzie ustalono, aby wysłać numer skonfiskowany żądającym paczkami jako książki pod firmą i pieczątką księgarską. Tak też zostało wykonane. — Wysłało się na pocztę w sobotę wieczorem, licząc na to, że w niedzielę poczta pracowała tylko do 10 godziny, urzędnicy będą się spieszyli, nikt nie zauważy i pójdzie w świat spokojnie...

Tymczasem w niedzielę, ledwie skończyłem Mszę św. w katedrze, wbiega do zakrystii zdyszany chłopiec z administracji Głosu Wiary i mówi do mnie:

— Proszę księdza redaktora, pan policmajster z naczelnikiem poczty rozpakowują posyłki zaniesione wczoraj na pocztę do wysłania. Przysłał mnie dyrektor drukarni.

Bez zwłoki spieszę na pocztę, gdyż wiem dobrze, o co idzie. Mogą nie tylko zawiesić rozwijający się już Głos Wiary, zamknąć niedawno otwartą księgarnię, a mnie osadzić w więzieniu na lat kilka. Całkiem niewesoła sprawa!...

Nim doszedłem do urzędu pocztowego miałem już plan postępowania gotowy. Liczyłem, nie mówiąc o pomocy bożej, trochę na niebardzo czyste sumienie policmajstra i jego dość tępy umysł, a także na przysłowie: „Audaces fortuna juwat" (które tłumaczymy: „śmiałym szczęście sprzyja", lecz też nieraz: „śmiałków psy kąsają").

Wszedłszy do wnętrza poczty zastałem policmajstra ze strażnikiem rozwijających paczki z Głosem Wiary przy naczelniku poczty, a paczek było blisko dwa kosze. Nie witam się ani z jednym ani drugim, lecz spokojnie pytam się naczelnika poczty:

— Czy pan naczelnik otrzymał pozwolenie od ministra poczt i telegrafu na łamanie sekretu pocztowego i kiedy to nastąpiło? Czy to tajemnica pocztowa pana naczelnika już nie obowiązuje?

— Proszę księdza redaktora, to nie ja otwieram paczki z księgarni, lecz pan policmajster. Ja mam na to świadków. Ja wiem, że mnie sekret pocztowy obowiązuje.

— A to może pan policmajster ma pozwolenie na podobną rewizję na poczcie?

— Nie, ja także nie otrzymałem żadnych instrukcji co do tego. Doniesiono mi tylko, że wysyłany jest skonfiskowany numer Głosu Wiary, więc go chciałem zatrzymać.

— No, to zobaczymy, moi panowie, co na takie postępowanie Petersburg odpowie!....

Zwracam się do oddziału telegrafu, proszę o blankiety i zapowiadam, że wysyłam terminowe depesze do ministra poczt i telegrafu, do ministra handlu i do ministra spraw wewnętrznych.

Nawiasem przypominam, że w tym roku zagranica w gazetach wystąpiła bardzo ostro na poczty rosyjskie, że nie zachowują sekretu pocztowego, obowiązującego na całym świecie. Rosyjskie gazety broniły swych urzędów pocztowych szczerze czy nieszczerze, dość, że minister poczt przypomniał o tym obowiązku i zapowiedział, że winnych, gdyby się tacy znaleźli, będzie surowo karał.

To też po chwili i policmajster i naczelnik podeszli do mnie, siadającego do pisania tych depesz i rzekli:

— Tak to ksiądz redaktor chciałby sam pływać po wierzchu, a nas to zaraz potopić!... A niech sobie idą te paczki, damy pokój wszystkiemu.

Obawiałem się, by się kogoś jeszcze nie poradzili, jak lepiej postąpić, więc nie zgodziłem się na zostawienie na poczcie tych paczek. Tłumacząc, że są teraz źle zapakowane, źle obwiązane, poleciłem tedy zabrać wszystko do księgarni, co też strażnik z chłopcami uczynili.

Po przyjacielsku wyłożyłem policmajstrowi, jak powinien był zrobić konfiskatę, że mnie i o niego chodziło, gdy zdecydowałem się na wysłanie

tych przez niego pozostawionych egzemplarzy. Ładnieby wyglądało, gdyby ktoś nadesłany z Warszawy poprawiał jego konfiskowanie...

Przeprosił mnie jeszcze raz za ten cały kram, zapraszał byśmy „obleli" tę nieprzyjemną sprawę. Odmówiłem mu tej przyjemności z wielu względów. Najważniej dlatego, by zostać samemu, by się uspokoić i podziękować Bogu, że tak udało mi się moskala wywieść w pole i uniknąć tak wielkiej odpowiedzialności, jaka mi groziła.

45704

BIBLIOTEKA
Seminarium Duchownego Rzym.-Kat.
W SANDOMIERZU

IV.

Redaktor Głosu Wiary Józef Wróbel. — Wizyta policmajstra. — Koncesja wydobyta bez łapówki.

Kiedy zaczęły się sypać na „Głos Wiary" te kontrybucje, konfiskata i proces sądowy, wszyscy znajomi i życzliwi nalegali na mnie, bym poznał się z „radcą" Dragomireckim, wypłacał mu miesięczną pensję, jak to czynią inni redaktorzy i był spokojny o wydawnictwo, któremu przecież środków braknąć może. Ks. Czapla nalegał, abym sobie znalazł innego „redaktora-wydawcę", gdyż on dłużej pisma podpisywać nie będzie, bo wiele na tym traci. Nie rozumiałem tego wtenczas, dopiero niedawno przeczytałem w dziele „Bojownicy kapłani za sprawę Kościoła i Ojczyzny" Pawła Kubickiego, biskupa sufr. sandomierskiego, w tomie I, str. 495, że biskup Zdzitowiecki zawiadamiał jenerał-gubernatora, iż stara się w Rzymie dla ks. Czapli o godność szambelana papieskiego. Ten odpowiedział, „że nie będzie się mógł na to zgodzić, bo ks. Czapla jako redaktor Głosu Wiary umieścił w tym piśmie dwa artykuły o jaskrawym polsko-narodowym tonie i już 2 razy administracyjnie był karany na sumę 500 rubli".

Z powyższych powodów rozpocząłem się rozglądać, szukając nowego „redaktora-wydawcy" dla „Głosu Wiary" tak zwanego „od kozy", a sam przestałem na jakiś czas podpisywać pismo jako kierownik literacki. Dragomirecki widocznie sądził, iż mnie pognębił zupełnie, że mnie usunięto z redakcji, bo przestał nowych kar nakładać, a ja wkrótce znalazłem na miejsce ks. Czapli nowego redaktora Wróbla, mniejszego ptaka, aby Dragomirecki nie tak łatwo mógł go złapać, gdyż miał być „redaktorem od kozy", czego cenzorzy bardzo nie lubili.

Ustawa rosyjska prasowa nie wymagała żadnego cenzusu naukowego od redaktora, mógł być nawet kompletnym analfabetą, aby tylko był „błagonadiożnym" (prawomyślnym) i takich „redaktorów" było w Rosji sporo. Józef Wróbel do takich jednak nie należał. Był wprawdzie sa-

moukiem, pisał jednak zupełnie poprawnie i w dodatku czytelnie, a to ma także wielki plus. Poznałem go, gdy byłem wikariuszem w Rząśni, brał stale ode mnie książki, które nie tylko sam, ale i innym na wsi chętnie czytywał. Trudnił się szewstwem, był biednym, ale uczciwym i pracowitym.

Na wezwanie przyjechał do Włocławka. Rozmówiliśmy się, zgodził się chętnie i na utrzymanie, jakie mu zaproponowałem, i na warunki, że gdyby wypadło, pójdzie odsiadywać areszt zamiast płacenia kontrybucji i wtenczas otrzyma podwójną pensję i wikt.

Stosunkowo prędko otrzymał od gubernatora warszawskiego koncesję na redaktora-wydawcę Głosu Wiary. Drukarnia Diecezjalna wydrukowała mu bilety wizytowe z tymi tytułami, z czego się cieszył szczerze. Gorzej było z doręczeniem tego pozwolenia. Referent powiatowy, Polak, zawiadomił mnie o otrzymaniu pozwolenia i za jakim numerem wysyła je do policmajstra dla wręczenia Józefowi Wróblowi.[1])

Z doręczeniem tej koncesji z kancelarii policmajstra były całe hece! Policmajster wiedział dokładnie, że za Józefem Wróblem ja dalej stać będę, a ustawa prasowa przewidywała duże kary na takich podstawionych redaktorów i na korzystających z tego, chciał więc na tym interesie dobrze zarobić, lub też ciągle mieć mnie w swym ręku jako stałe źródło łapówek. Kiedy więc Wróbel w kilka dni zgłosił się do policmajstra o pozwolenie, powiedział mu, że on nic nie wie o pozwoleniu, że nie wie, gdzie mieszka „pan redaktor" a chce mu złożyć wizytę. Potem przejrzy „papiery" i zobaczy, czy nadeszło oczekiwane pozwolenie.

Pewnego dnia, gdy byłem w Warszawie, rzeczywiście zjawił się policmajster w Księgarni Powszechnej, od razu udał się do administracji Głosu Wiary i zapytał o Wróbla. Wróbel akurat porządkował podwórko Drukarni Diecezjalnej i miał do czynienia z miotłą i taczką. Lubił wszędzie porządek i często to robił, choć mu tego nikt nie polecał. Przez okno widział to policmajster. Gdy tedy Wróbel na wezwanie chłopaka wchodził we drzwi redakcyjne i przedstawił się z daleka: Józef Wróbel, redaktor i wydawca Głosu Wiary — policmajster z ironią pyta go:

— A cóż to tam pan redaktor na podwórzu robił? Czy to taczka i miotła to zajęcie redaktorskie?...

---

[1]) Józef Wróbel był redaktorem-wydawcą Głosu Wiary od lipca 1911 r. do sierpnia 1914, gdy Głos Wiary zawiesiłem. Chociaż ufałem mu zupełnie, wziąłem piśmienne oświadczenie, że pismo nie jest jego własnością. Przed wojną wyjechał z żoną i dwojgiem dzieci do rodziny swej żony do par. Wiewiec (pow. radomszczański) i tam umarł wraz z żoną na tyfus. Cześć pamięci zacnego człowieka i pracownika uczciwego!

— A to, co mi tam wypadło, odpowiada Wróbel. — A czy to pan policmajster nie uczył się historii i nie wie, co to Piotr Wielki własnoręcznie robił? To i ja mogę.

Wizyta skończyła się na niczym. Po jakimś czasie wysyłam Wróbla powtórnie. Wypytywał Wróbla o różne sprawy, z których Józef dobrze się wywijał. Wreszcie powiedział mu, że pozwolenie jeszcze nie nadeszło. Co tu było robić! Ks. Czapla nagli i nie chce stanowczo, aby drukować jego nazwisko pod numerem nadchodzącym. Mówię więc do Wróbla za parę dni:

— Weźmij z kasy kilkanaście rubli i załatw z tym policmajstrem ostatecznie, gdyż wiem dokładnie, że pozwolenie nadeszło. Dużo mnie kosztowało takie postawienie sprawy, ale cóż było robić!...

Wróbel poszedł i nie wraca. Upływa godzina, druga, trzecia... A tu ks. Czapla w dodatku telefonuje, by go stanowczo nie ważyć się dalej umieszczać na piśmie jako redaktora... Nie sądziłem, aby Wróbla policmajster przyaresztował, bo paszport miał przy sobie... Wreszcie po trzech godzinach wraca z wypchanymi papierem kieszeniami....

— Bój się Boga, Józefie!, gdzieś ty tyle czasu stracił! Wiesz przecie, jaka dzisiaj pilna robota w wysyłalni!

— A cóż miałem zrobić, proszę ks. redaktora. Zamknął mnie policmajster w pokoju na klucz i kazał mi pisać artykuły do Głosu Wiary. Przy tych słowach wyciąga z kieszeni zapisanych parę arkuszy papieru, — i nie wypuścił mnie, aż przed chwilą... Pieniędzy mu nie dawałem, bo gdyby tego było za mało, mógłby mnie oskarżyć, że go chciałem przekupić, poszedłbym pod sąd i nie mógł bym być redaktorem...

— Prawda i to, rzekłem i ręce mi opadły. Co tu rzeczywiście zrobić, położenie bez wyjścia. Po chwili chodzenia po pokoju mówię do Wróbla:

— Siadaj i pisz! i dyktuję mu po rosyjsku: Do pana gubernatora w Warszawie. Proszę uprzejmie o zawiadomienie mnie, czy zostałem zatwierdzony na redaktora-wydawcę Głosu Wiary w Włocławku, gdyż dotąd pozwolenia jeszcze nie otrzymałem, a podanie wniosłem przed czterema miesiącami. Odpowiedź opłacona.

Zaglądam przez ramię Wróblowi, nawet po rosyjsku dobrze napisał.

— Idźże teraz zaraz do policmajstra, pokaż mu to i zapytaj z głupiafrant, czy to dobrze ta depesza jest ułożona, bo po rosyjsku nie umiesz całkiem dobrze.

Józef spełnił polecenie co do słowa. Policmajster, gdy przeczytał depeszę, uniósł się bardzo i powiedział z klątwą: — Chce pan być redaktorem, a ja panu będę jeszcze depesze poprawiał! Niech pan idzie do

domu, ja tu przejrzę „papiery", bo parę dni nie byłem w kancelarii,a jak znajdę to pozwolenie, zaraz je odeślę. Nie potrzebuje pan tej depeszy wysyłać!...

W niespełna pół godziny przynosi strażnik pozwolenie i idzie z szurganiem nóg wprost do mnie. Obejrzawszy obojętnie, oddaję strażnikowi i mówię spokojnie, że to pozwolenie dla pana Józefa Wróbla jako redaktora-wydawcy Głosu Wiary, który powiózł paczki na pocztę i wróci za jakie pół godziny. A ja jestem tylko kierownikiem literackim, a nie redaktorem. Niech się zgłosi za pół godziny, a redaktor będzie.

Za pół godziny strażnik wrócił. Wróbel z całą powagą jawnie za przyniesienie pozwolenia dał strażnikowi 3 ruble, za co nisko mu się ukłonił.

W taki sposób zmusiłem policmajstra do wydania tego pozwolenia bez łapówki.

ARTYKUŁY I NOTATKI Z GŁOSU WIARY KARANE PRZEZ CENZURĘ ROSYJSKĄ

I.

Obrazek.

Wspomnienie z przeszłości.

Kończyłem naukę na uniwersytecie, gdy nastał czas wrzenia w naszym kraju. Naród ocknął się z długiego uśpienia. Rozbudzone nadzieje odzyskania wolności rozgrzały w żyłach krew polską... I ja byłem Polakiem. Poszedłem naprzód, gdzie mi miłość Ojczyzny kazała... Dalej szedłem z musu, jako ofiara tej miłości. A droga, którą mi iść wypadło, była długa i straszna... przez pawilony... etapy... i rózgi: A w tej drodze liczono nie na dziesiątki lub setki, ale na tysiące... wiorsty... dni i udręczenia... Opisywać jej nie będę, bo to za trudne na siły ludzkie... Jednak jam tę drogę przeszedł i choć ciałem upadałem pod jej ciężarem, ale duchem ani razu. Zawdzięczam to modlitwom umierającej matki i jej pamiątce, jaką mi przysłała na drogę.

— Masz to od matki na drogę, mówiła siostra moja, żegnając się ze mną ostatni raz przed zesłaniem, i podała mi obrazek: Pan Jezus z krzyżem na ramieniu w drodze na Kalwarię, a na uboczu trzy niewiasty: jedna z nich to Najświętsza Panna.

Myśl o znaczeniu tego obrazka takie wywierała na mnie wrażenie, że wobec niej razy żołdaków zdawały się być bezsilnymi. Tej myśli i modlitwie zawdzięczam, że z Bożą pomocą zachowałem siłę ducha, która podtrzymywała moje słabnące ciało... Ani na chwilę nie upadałem na duchu, nie rozpaczałem. Coś we mnie mówiło, że wszystko złe się skończy, a cierpienia moje i narodu będą policzone u Boga.

Skoro uzyskałem pozwolenie na zajęcie się pracą umysłową, przy łasce Bożej zrobiłem tyle, że nie wiem, czy bym w Polsce ukochanej w najlepszych warunkach mógł tego dokonać.

Cierpienia przebyte minęły jak sen. Zyskałem sławę w nauce, a prócz tego zadowolenie, żem naprózno życia nie stracił, żem je spędził jak Polak.

Obrazek Chrystusa dźwigającego krzyż, otrzymany od matki, mam teraz w złoto oprawny i za nicbym go nie odstąpił. On mnie pobudzał do modlitwy, a modlitwa dawała mi siłę ducha i wytrwałość w pracy.

Wiara i modlitwa najlepsza pociecha w każdym nieszczęściu.

(Głos Wiary za luty 1910 r. Obłożony karą 250 rubli, lub 2 miesiącami aresztu).

II.

Intencja dla Żywego Różańca na marzec. 1910 r.

W dniu 19 marca obchodzimy uroczystość św. Józefa, małżonka N. Maryi Panny, a opiekuna troskliwego Boga Człowieka, Dzieciątka Jezus. Mało znamy szczegółów z życia tego Świętego. Jednak to, co Ewangelia nam o nim podaje, stanowi ważny i odpowiedni materiał do rozmyślania i zastanawiania się dla każdego stanu.

Św. Józef jest wzorem głębokiej wiary w Boga i tajemice Boże.

Św. Józef jest niezrównanym wzorem dla wszystkich wielkiej ufności w opiekę Bożą i zarządzenie Opatrzności, czuwającej nad każdym stworzeniem.

Św. Józef jest wzorem gorącej miłości Boga, Rodziny swej i wszystkich bliźnich.

Św. Józef jest niedoścignionym wzorem troskliwości i zabiegliwości o los swej świętej Rodziny. Szczegółów nie potrzebujemy przypominać, bo każdy katolik pamięta je dobrze. Wszyscy wiemy dobrze o wielkiej troskliwości św. Józefa względem N. Maryi Panny i powierzonego mu Dzieciątka Jezus. Jednak czy wielu z nas naśladuje w tym św. Józefa? Musimy przyznać, że mało kto pamięta o ciążących na nim obowiązkach względem rodziny tak jak należy.

Nie mogę pisać o wszystkich niedbalstwach, jakich się dopuszczamy, wspomnę o braku odpowiedniej troskliwości i pamięci względem dzieci naszych nieobecnych w domu.

Mam tu na myśli kwiat rodzin polskich i katolickich, kwiat ledwo rozwinięty, naszą młodzież, która powołaną została do służby w wojsku. Z górą przez trzy lata zostaje ona daleko od swych rodziców, braci, sióstr i krewnych w obcych sobie i nieznanych krajach, wertepach i pustyniach... Nieraz ci biedni przez całe lata nie widzą kościoła i nie słyszą kapłana, są opuszczeni, zapomniani przez swoich. Oderwani od Kościoła, oderwani od kraju ojczystego, od rodziny, potrzebują pociechy, potrzebują upomnień, by pamiętali o swej duszy i kraju rodzinnym, by nie zapominali o wierze i mowie polskiej; by się wystrzegali rozpusty i zepsucia, jakie na nich w wojsku czyha. A czy o tym pamiętają ojcowie, matki, człon-

kowie rodzin katolickich i polskich? Musimy powiedzieć, żeśmy wszyscy pod tym względem zawinili...

Od serdecznych przyjaciół Głosu Wiary, przebywających w wojsku, otrzymujemy gorzkie skargi na rodziców i rodziny. Piszą nam, że płakali przy ich wyjeździe, a teraz żałują paru groszy na napisanie listu, lub przysłanie im dobrej gazety. Inni nadsyłają synom bez potrzeby pieniądze, które wielu wychowanych bez bojaźni Bożej obraca na pijaństwo i rozpustę... Z płaczem oświeceni i uczciwi piszą do nas, gdy wspominają o tym, jaka to rozpusta, i zgorszenie szerzy się w wojsku między młodzieżą naszą. Nieugruntowani w świętej wierze i miłości swej Ojczyzny niektórzy wstydzą się polskiego pacierza, prędko zapominają o zasadach swej religii katolickiej, przekręcają i kaleczą mowę ojczystą różnymi wyrazami obrzydliwymi... Nawet wtedy, gdy mogą z rodakami pomówić po polsku, wstydzą się tego...

Rodzice zamiast pisywać częściej do synów, przesyłać serdeczne i szczere napomnienia, słowa tchnące ciepłem ojczystym, jak tego każdy wygląda, piszą od początku listu do końca same pozdrowienia bez żadnego sensu i związku. Po otrzymaniu takiego pisania z domu syn tyle wie, co i przedtem: taki mądry, jak i bez listu... Wszyscy narzekają na swoją ciemnotę i na tych, co do nich tak piszą.

Dzieje się tam źle między naszymi. A lekceważyć tego nie można, gdyż synów polskich rodzin z górą 150 tysięcy corocznie idzie do wojska. Musimy temu jakoś zapobiegać. Otóż najprzód my wszyscy członkowie Żywego Różańca w tym miesiącu ofiarujemy nasze modlitwy Bogu przez patrona rodzin chrześcijańskich św. Józefa za wszystkich braci naszych Polaków-katolików, zostających w wojsku. A prosić będziemy o to, by ich Bóg Najwyższy za przyczyną św. Józefa strzegł od utraty wiary, by wszyscy w wojsku ciągle pamiętali o tym, że są synami Kościoła katolickiego i matki naszej Ojczyzny Polski. Modlić się będziemy, by wszyscy nasi rodacy postępowaniem swoim nie przynosili wstydu i Kościołowi i Ojczyźnie.

Nadto wszyscy Bracia, Siostry Żywego Różańca niech się starają, by przez częste listy rozumnie pisane, przez posyłanie dobrych gazet, książek pożytecznych, podtrzymywali ducha dobrego u służących w wojsku. Wysłanie gazety nie wiele kosztuje, bo gazeta pocztą dojdzie za marną wartość 4 groszy. I choć w ten sposób okazujmy swą miłość na wzór św. Józefa do tej wielkiej rodziny, jaką jest Kościół i Ojczyzna.

Uwaga. List do przebywającego w wojsku w ważnej potrzebie napisze każdy ksiądz, gdy go o to poproszą tacy, którzy sami poczciwie nie potrafią napisać, a dobrze piszącego znaleźć nie mogą.

(Głos Wiary za marzec 1910 r. Artykuł ten obłożony został karą 250 rubli lub 2 miesiącami aresztu).

III.

Kontrybucja.

W ostatnich dniach spadła na Redakcję Głosu Wiary za Nr 2 (z lutego 1910 r.) niespodziewana kara. Warszawski jenerał-gubernator administracyjnie skazał Redakcję na zapłacenie 250 rubli kontrybucji lub 2 miesiące aresztu.

Kiedy numer obecny (kwietniowy) był już w druku, wręczono nam drugie wezwanie do zapłacenia nowych 250 rubli kontrybucji za Nr 3 Głosu Wiary.

Mamy więc zapłacić 500 rubli kary, lub 4 miesiące aresztu.

Wobec konieczności uiszczenia tak wielkiej sumy przy niskiej opłacie rocznej za nasze pismo, zwracamy się do wszystkich nam życzliwych o łaskawe wnoszenie zaległej opłaty rocznej i o jednanie nam nowych prenumeratorów.

(Głos Wiary Nr 4 za kwiecień 1910 r. skonfiskowany).

IV.

Mankietnictwo w świetle prawdy.

Osławiona sekta mankietników, albo kozłowczyków coraz więcej brnie w rozmaite błędy dawnych heretyków i odszczepieńców. Kiedy wyznawcy nauki „mateczki Kozłowskiej“ zostali wyłączeni z Kościoła katolickiego, nikt nie przypuszczał, by tak prędko zaczął się rozkładać i gnić ten wrzód utworzony na ciele Kościoła przez chorobliwie pysznych i zarozumiałych ludzi. Ledwie trzy lata upłynęło od tego czasu, jak zdrowe soki nauki Chrystusa przestały krążyć w tej odciętej gałęzi, a już mankietnicy zaszli dalej w błędach od swych wielu poprzedników heretyków i odszczepieńców.

Pod kierunkiem holenderskiego episkopa Kowalskiego kozłowczycy łączą się z nienawiści do Ojca św. i Kościoła katolickiego ze wszystkimi wrogami Boga i religii chrześcijańskiej. Każdego bezbożnika, szydzącego z Wiary św. uważają za swego przyjaciela, jeżeli tylko miota fałsze i oszczerstwa na Kościół katolicki, na Papieża, na duchowieństwo.

Jak daleko idą mankietnicy w swej zaciekłości względem Kościoła naszego, widzimy choćby z ich pisemek. W każdym numerze kozłowczycy wychwalają rozmaitych warchołów, zwanych modernistami — trafiają się oni w różnych krajach — przytaczają wyjątki z ich pism i broszur, choć wiedzą dobrze, że te mrzonki wywracają wszelką religię objawioną, a nawet nie uznają Boga wcale.

Te mętne i błędne majaczenia tak zwanych modernistów nie tylko przez Kościół katolicki, ale nawet przez wszystkich wiernych protestantów zostały ogłoszone za szkodliwe, przewrotne i bezbożne i jako takie są potępione. Kozłowczycy jednak zachwalają modernistów dlatego, bo ci tak jak i oni miotają różne oszczerstwa i obelgi na Kościół i wiarę katolicką.

Przejęci jedną myślą szkodzenia Kościołowi katolickiemu, nie widzą albo nie chcą widzieć tego kozłowczycy, że nawet w otumanionych przez

siebie ludziach podkopują i zabijają wszelką wiarę w Boga i Jego sprawiedliwość.

Mają widać w tej robocie kozłowczycy swoje wyrachowanie. Ponieważ w wielu wyznawcach kozłowskich odzywać się zaczyna sumienie, chcą ci obłudnicy gwałtem wpoić w lud przekonanie, że wszystko jedno do jakiego korytka zaprowadzą ich kierownicy, byle tylko nie wrócili do Kościoła katolickiego, bo tam według nich jest najgorzej...

Pomimo miotanych przy każdej sposobności oszczerstw i kłamstw na duchowieństwo i Kościół katolicki, zbłąkane owieczki w wielu okolicach wracają na łono swej Matki. Niedawno temu w parafii Leczno, w powiecie błońskim, porzuciło herezję czterdziestu kilku wyznawców kozłowityzmu, a między nimi członek zarządu związku mariawitów Gołębiewski, na którego gruncie urządzono dom modlitwy. Coraz więcej w tej parafii przejawia się dążność do pojednania się z Kościołem Chrystusa, ku czemu przyczynia się gorliwa i umiejętna praca pasterska miejscowego proboszcza, ks. Czesława Skomorowskiego.

Wróciła także d. 17 lutego do Wiary katolickiej rodzina Nowickich, składająca się z siedmiu osób, zamieszkała we wsi Ilinka, parafii Gumino, diecezji Płockiej. Nawróceni opowiadają, jak podaje pismo: „Mazur", że dawno myśleli o powrocie do prawdziwej wiary. Bali się jednak, by nie zemścili się na nich mankietnicy sąsiedzi. Mówią Nowiccy także, że wielu uczeńszych chętnie by wróciło do prawdziwego Kościoła, ale nie mogą odebrać pieniędzy, które wypożyczyli kozłowczykom. Opętali nas tak, jak pająki, choć sumienie gryzie i w nocy i w dzień spokoju nie daje, trudno jednak na razie wrócić do katolickiej wiary jawnie, bo wszystko byśmy stracić musieli — tłumaczy się wielu...

Takich otumanionych i w różny sposób oplątanych przez czułych „ojczulków kozłowczyków" jest sporo naszych braci...

Wielu czytelników sądzić może, że kozłowczyków jest bardzo dużo w naszym kraju. Niektóre pisma podawały dość spore liczby. Otóż w rzeczywistości niema i dziesiątej części tylu mankietników, jak podają w swoich kalendarzach i pismach wyznawcy i poddani „mateczki" Kozłowskiej. Pokazało się to najlepiej w Dąbrowie Górniczej, jak potrafią kłamać „ojczulkowie" holenderscy, czyli starokatoliccy.

Podali oni prośbę do wyższej władzy rządowej, aby im wyznaczyła plac pod kaplicę i cmentarz, twierdząc, że gmina ich liczy przeszło cztery tysiące dusz. Prośba kozłowczyków odesłana została do sprawdzenia w gminie. Gdy z polecenia wójta, sołtysi spisali wszystkich zamieszkałych w Dąbrowie mankietników, chodząc od mieszkania do mieszkania, to się okazało, że jest ich zaledwie 168 dusz, czyli kilkanaście rodzin i to nie stale mieszkających, ale przybyłych na pewien czas do Dąbrowy. **Stałych**

mieszkańców w Dąbrowie zamiast 4 tysięcy mankietników, było wszystkich rodzin kozłowickich aż 4... wyraźnie cztery.

Taka jest prawda kozłowicka w każdej sprawie...

Podobnie robią „ojczulkowie" z fotografiami i obrazami, jakie umieszczają w swoich kalendarzach i pismach. Wyobrażają na tych obrazach kozłowczycy niby swoje szkoły i ochrony dla dzieci, różne procesje, na których pełno ludzi. W rzeczywistości przewożą i spędzają z różnych okolic tych samych omotanych — i przedstawiają ich po kilka razy. Kto się nie zna na takich sztuczkach i oszustwach, gotów uwierzyć, że tych ogłupionych czcicieli „mateczki" rzeczywiście jest już bardzo dużo, tymczasem jest trochę inaczej. A dlaczego tak fałszywie przedstawiają przewodnicy mankietników, zrozumiecie sami.

Wiecie dobrze, że kto potrzebuje wziąć zaliczkę za bydełko, czy zboże jakie ma sprzedać kupcowi, to stara się rozmaicie, by jak najlepiej się przedstawił. Oszuści cudze zboże pokazują, jako swoje, mają świadków najemnych i w ogóle radzą sobie, jak oszuści potrafią. Kozłowici, by dostać pieniądze, potrzebują przedstawić kupcom „towar". Ponieważ nie wiele mają wyznawców, więc choć na papierze, na fotografii mieć ich muszą, by mogli pokazać i sprzedać!! Zadatek już wzięli, więc cofać się nie można, a targi w tym roku mają być skończone. I oto cały sekret!...

Słuchajcie, co piszą do „Gońca Wileńskiego" z Petersburga. „Odbyło się tu niedawno posiedzenie komisji starokatolickiej, utworzonej w 1910 roku przez synod prawosławny. Obrady toczyły się nad połączeniem z prawosławiem gmin „mariawickich", istniejących w państwie pod nazwą starokatolickich. Na tym zebraniu wyrażono nadzieję, że połączenie gmin mariawickich z prawosławiem nastąpi już w ciągu bieżącego roku. Wobec tego sprawa staje się zrozumiałą od razu.

Toteż nie tylko towarzysze Kowalskiego i słudzy „mateczki" Kozłowskiej gorliwie pracują nad tym, by jak najwięcej holenderskich, czyli starokatolickiej herezji przymnożyć wyznawców. Nawet prawosławni nauczyciele i pisarze gminni im w tem pomagają. W powiecie Chełmskim, pisze „Ziemia Lubelska" w Siedliszczu nauczyciel i pisarz gminni obaj prawosławni, szerzą pisma mankietnicze i zachęcają do kozłowszczyzny katolików tam zamieszkałych. Taka praca, pisze „Dziennik Powszechny", może być dla szerzących mankietnictwo korzystniejszą od handlu nierogacizną lub innym towarem, ale jest szkodliwą dla wiary, kraju i narodu.

Z tego widzicie jasno, że apostolstwo mankietnictwa jest wcale dobrym „interesem" w tych czasach, więc go się nawet pisarze i nauczyciele niektórzy imają. Jest to jednak handel rzeczami najświętszymi! Mogą zdrajcy-judasze sprzedawać siebie i swoje „przekonania", jednak handlować przekonaniami religijnymi i ojczystymi ludu naszego im nie wolno!

„Głos Wiary“ Nr 4, kwiecień 1910 r.

Za artykuł ten i „Wilk w owczarni“ z tego samego numeru cenzor Włodzimierz Dragomirecki nałożył kontrybucji 300 rubli lub 2 miesiące aresztu.

Nadto prokuratoria wytoczyła proces sądowy o... bluźnierstwo (bogohulstwo). Sprawa sądzona była 4 razy. Ciągnęła się do 1914 r. Skończyła się ukaraniem ks. Piotra Czapli 50 rub., ks. Jana St. Żaka 150 rubli, z których zapłaciłem... 15 rb., reszta z powodu wojny przepadła. Kosztowała sama ta sprawa blisko 2.000 rubli.

Wilk w owczarni. Z Sokółki, gubernii grudzieńskiej, piszą:

Ni stąd, ni z owąd zjawił się w naszej Sokółce mariawita czyli kozłowczyk i to nie zwykły sobie wyznawca Kozłowskiej, ale „duchowny“. Zajrzał do adwokata żyda, jako do człowieka mającego styczność z mieszczanami i włościanami, zajrzał i do akuszerki, bo i ta ciągle również bywa między ludźmi, ale najpewniej oparł się o starozakonnego Kulkina, z pokolenia w pokolenie sprzedającego... wódkę i stamtąd zaczął „nauczać“ i zachęcać do swego odszczepieńczego wyznania. Na „nauki“ te bardzo mało kto zwracał uwagę, ale ludzie rozsądniejsi widząc, iż kozłowczyk swoim zachęcaniem do nowości sieje zamęt w umysłach niedoświadczonych, dalejże w radę i — do proboszcza. Pasterz zgromadził owieczki swe do kościoła, kazał uderzyć w dzwon na znak trwogi i donośnym głosem zawołał do ludzi: „Wilk w owczarni“ a potem wzbogacił ich serca, dając nie srebro, złoto, ale umocnienie w wierze. Ludziska się spłakali, rozrzewnili i zgodnie postanowili wygnać fałszywego proroka. Nikt nie odpadł od świętej wiary ojców. Kulkin też jak był pozostał starozakonnym... Kozłowczyk zaś wyniósł się cichaczem i przepadł.

(Głos Wiary Nr 4, kwiecień 1910 r. Ta notatka razem z poprzednim artykułem ukarana 300 rublami i konfiskatą).

Usunięcie proboszcza. Z Kłecka, miasteczka parafialnego w powiecie słuckim, gubernii mińskiej, piszą:

Od kilku lat proboszczem w Kłecku był ksiądz Wincenty Harasimowicz. Był to kapłan gorliwy, a tak dobroczynny, że nie tylko katolicy, ale każdy, kto szukał wsparcia, znajdował u niego pomoc, czułe i dobre słowo. Kiedy przed trzema laty zagroził całej okolicy głód, bo zboża było mało, a kupcy zbożowi i piekarze, korzystając z tego, podnosili ceny, wówczas ks. Harasimowicz sprowadził tanio własnym kosztem i staraniem kilkadziesiąt wozów kolejowych żyta i rozprzedawał je po cenie kosztu wszystkim bez różnicy wyznania; potem założył jeszcze piekarnię w Niedzwiedzicach pod Kleckiem i tym sposobem powstrzymał wyzysk ubogiej ludności przez piekarzy. Niestety, parafia klecka straciła obecnie dobrego kapłana. Już przed paru laty zapłacił on 300 rubli za wywiesze-

nie chorągwi podczas odwiedzin biskupich, oraz kilka mniejszych kar za uczenie dzieci bez pozwolenia władzy. Niedawno sąd skazał ks. Harasimowicza na usunięcie od obowiązków parafialnych w ciągu 8 miesięcy i na zapłacenie 200 rubli kary za chrzty i śluby osób, przechodzących z prawosławia na wiarę katolicką. Aż teraz nagle nadeszła wiadomość o sroższej jeszcze karze, która spadła na naszego ks. proboszcza. Oto w tych dniach został on uwięziony w Mińsku litewskim, odstawiony do urzędu policyjnego, tam sfotografowany i wywieziony następnie pod strażą aż do miasta Archangielska nad Morzem Białym. Szkoda tak dobrego kapłana.

(Głos Wiary Nr 5, Maj 1911 r.)

Wydalenie księdza. Z Rosicy, w gub. wileńskiej, piszą:

Dnia 19 b. m. proboszcz rosicki, ks. Teodor Kulikowski po raz ostatni odprawił nabożeństwo w swym kościele parafialnym. Parafianie zebrali się tłumnie, i gdy zacny kapłan drżącym ze wzruszenia głosem żegnał z ambony swych wiernych, z oczu ich popłynęły łzy rzęsiste. Ks. Kulikowski usunięty został z parafii rosickiej przez władze administracyjne po dziewięcioletniej niezmordowanej w niej pracy. Za powód wskazano przyłączenie przezeń do Kościoła katolickiego 2 tysięcy parafian, od dawna w rzeczywistości tę wiarę wyznających. Przed kilku laty założył fundamenty nowej świątyni, której jednak wykończyć nie danem mu było. Wśród parafian swoich zdobył powszechny szacunek i przywiązanie. Wyjazd jego okrył ich ciężką żałobą.

(Głos Wiary Nr 5, Maj 1911 r.)

Z Podlasia. Do „Ziemi Lubelskiej" z Włodawskiego donoszą, że kościoły i kaplice, które zatwierdzono po Ukazie tolerancyjnym, obecnie są kolejno zamykane. Taki wypadek zaszedł pod Parczewem, we wsi Gęś. Pomimo, że w tej miejscowości jest tylko parę rodzin prawosławnych, kościół zamknięto, a księdza przeniesiono do Siedlec. Drugi wypadek był w Różańce pod Włodawą, gdzie właściciel uzyskał pozwolenie na wzniesienie świątyni katolickiej. Gdy fundamenty i część murów stanęły, przyszedł rozkaz zawieszenia robót.

(Głos Wiary Nr 5, Maj 1911 r.)

Za te trzy notatki warszawski generał-gubernator na podstawie przedstawienia cenzora W. Dragomireckiego naznaczył 300 rubli kary lub 2 miesiące aresztu.

V.

Napad bandytów na redaktora Głosu Wiary i dyrektora Księgarni Powszechnej.

W początkach lutego 1913 r. ks. biskup Zdzitowiecki polecił mi, abym w niedługim czasie udał się do ks. B. Michalskiego do Lękińska i zbadał sprawę tworzenia nowej parafii w Kleszczowie, kolonii należącej do parafii Solmierzyce.

Dnia 12 lutego o 8 wieczorem wyjechałem ze stacji Kamieńska (między Piotrkowem a Radomskiem) do odległego o 12 kilometrów Lękińska.

Właściciel bryczki, zaprzężonej w jednego konia, wskazany przez numerowego na stacji wywarł na mnie niemiłe wrażenie, choć zapewniał, że najdalej za 5 kwadransów będziemy na miejscu, bo droga jest dobra, szosa, a on zna ją dobrze i przywykł nocą jeździć. Nie chcąc robić zawodu gotowemu do jazdy woźnicy, wsiadłem i ruszyliśmy w drogę.

Noc była cicha i gwiaździsta, księżyc świecił, o ile nie zakrywały go chmury. Z rozmowy z powożącym dowiedziałem się, iż pochodzi z Kamieńska, zarabia nie wiele, gdyż ruch na kolei jest nieznaczny, a pasza dla konia jest dość droga. Na uwagi moje odpowiadał skąpo.

Rzeczywiście droga, którą jechaliśmy, nie nadawała się do nocnego podróżowania. Jedzie się prawie ciągle lasami, czasami wyciętymi, pełno gałęzi ułożonych w kupki tuż obok drogi, a dalej różne zarośla. Wsi zamieszkałych prawie niema przy drodze w bliskości. Okolice wymarzone dla napadów. Przeczuwałem coś niedobrego. Przed nami grobla, na niej most, z jednej strony staw, z drugiej młyn spalony. Pytam się woźnicy, jak się nazywa ten młyn. — Krzywda, proszę księdza. Nastrój jeszcze gorszy. Do Lękińska, jak mówi woźnica, już tylko 3 wiorsty. Za chwilę wjeżdżamy wąską szosą do gęstego boru, w którym jak się dowiedziałem później, już było kilka zorganizowanych napadów na przejezdnych w latach poprzednich.

Mimo woli na wszelki przypadek przygotowałem łatwiejszy dostęp w kieszeni płaszcza do rewolweru. Poleciłem się opiece bożej i świątobli-

wej Królowej Jadwidze, do której od dawna miałem nabożeństwo i wiele razy doznałem jej wstawiennictwa. Zobaczyłem też godzinę — było 5 minut po 9. Kiedyśmy już ujechali z wiorstę tej drogi oświetlanej słabo gwiazdami i wychodzącym od czasu do czasu z za chmur księżycem, spostrzegam przechodzącego obok bryczki człowieka ubranego przyzwoicie z brodą, podobnego do żyda. Szedł bez laski, bez żadnego pakuneczku, ubrany stosunkowo za lekko na dalszą drogę — wydał mi się mocno podejrzanym. Przeprowadziłem go oczami po za siebie, a rewolwer ująłem w rękę, tylko jeszcze zabezpieczony. Gdy został za nami jakieś 100—150 kroków, widzę, że zapalił zapałkę i trzyma nad sobą. Furman widocznie czując że się oglądam i obracam, pyta, „czy też żyd stoi, czy idzie dalej". To mię utwierdziło w przekonaniu, że jest jakaś bliska zasadzka. Jaka — nie przewidywałem.

Jechaliśmy dość szybko. Ledwo odpowiedziałem woźnicy, iż zdaje mi się, że ten żyd stoi, usłyszałem: „wolno tam jechać, bo nam się tu koło złamało". Rzeczywiście widać przed nami duży wóz ze skrzynią jakby od wożenia wapna. Tyle razy spotykało się po drogach podobne furmańskie wypadki, że mnie to zupełnie nie zdziwiło. W tym podchodzi z lewej strony dwóch jakby furmanów umorusanych z drągami w ręku. Sądziłem jeszcze, że naprawdę podnosili wóz nimi, pobrudzili się smołą przy zakładaniu koła, a teraz zaglądają, czy im ktoś z przejeżdżających nie pomoże. To takie naturalne i zwykłe zjawisko, lecz przewiązana chustką jednego twarz, trzymanie drąga w pogotowiu, a tym bardziej wyskakujący z prawej strony z rowu podobny do żyda z dubeltówką, wyprowadzili mnie z tego mniemania.

Ubrany byłem w watowane palto, a na wierzchu miałem także watowany płaszcz, jaki dawniej nosili księża, z kołnierzem bobrowym, zarzucony na ramionach. Pod płaszczem wobec przeczuwanego niebezpieczeństwa trzymałem w ręku rewolwer przygotowany już do strzału. Widocznie z prawej strony stojący zbój zauważył pewien ruch ręki, czy też na skutek mego pytania: „co to jest, napad jakiś", syknął, „ciszej" i natychmiast zakomenderował: „wal go". Ujrzawszy podnoszące się nad sobą drągi, krzyknąłem: „na bok, bo strzelam". Gdy się nie usunęli, wypaliłem w pierś jednemu tak, że ogień od strzału go oświecił, i drugiemu w bok. Przewrócili się obydwaj do rowu, może ranni, lub zabici, albo też by uniknąć dalszych strzałów. Tymczasem ten z prawej strony z dubeltówką chciał mi widocznie wyrwać rewolwer z ręki, gdyż lufę jego fuzji czułem na szyi, na ramieniu. Momentalnie odbiłem do góry fuzję i strzeliłem do niego także z bliska dwa razy. Podobnie jak tamci przewrócił się natychmiast. Zawołałem na woźnicę, aby jechał dalej, gdyż przystanęliśmy na chwilę. Ujechaliśmy z 15—20 kroków po lewej stronie,

gdyż środek zapchany był wozami. Strzelali kilkakrotnie do mnie przez te wozy, ale ponieważ bryczka była niska, a skrzynie zasłaniały, szkody mi ani furmanowi nie wyrządzili. Zaczepiliśmy o wóz stojący na poprzek drogi, a słyszałem głosy „stać tam! nie strzelać!" przekonałem się, że bandytów jest więcej znacznie, niż sądziłem poprzednio, a mam tylko trzy naboje. W jednej chwili zbiegam z bryczki przez rów do lasu. W czasie tego zamieszania, jakie wywołał mój opór, ubiegłem bez zwrócenia uwagi ze 25—30 kroków, rzuciłem się na ziemię i czekam, co będzie dalej. Wzbudziłem żal doskonały, poleciłem jeszcze raz swą duszę Bogu i Królowej Jadwidze, czyniąc różne przyrzeczenia, jeżeli ocaleję i czekam zupełnie spokojnie. Kto nie był tak blisko śmierci, jak mnie się to przytrafiło, nie ma pojęcia, jak prędko przebiega całe życie przed oczyma duszy i jak jest każda chwila życia droga. Jeszcze więcej ugruntowałem się w przekonaniu, że człowiek przy zdrowych zmysłach życie ceni i nigdy sam sobie go nie odbierze...

Bandyci owi widocznie nie spodziewali się oporu, gdyż słyszałem, jak ze zdziwieniem zapytywali się nawzajem, a potym furmana, kto to strzelał.

— Tyś strzelał, mówią do furmana.

— Nie ja strzelałem.

— A kto strzelał?

— A ksiądz.

— A gdzie jest?

— A bo ja wiem — odpowiada wystraszony. Nie zabijajcie mnie, ja mam żonę i dzieci, ja nic nie wiem! Widocznie grozili mu bronią i bili... Wypytywali go o różne szczegóły. Wreszcie komenderuje jeden po rosyjsku „rozejść się, otoczyć łańcuchem to miejsce i szukać troskliwie!!'

Po chwili dobrej słyszę z różnych stron, jak się nawołują: — towarzyszu, gdzie jesteś — a ja tu, a ja tu. — Zbliżają się z różnych stron do mnie. Życie liczę na sekundy. Wiedziałem, że na litość liczyć nie mogę. Kroki słyszę coraz bliżej siebie. Jeden z rannych niedaleko ode mnie okropnie przeklinał. Zapalał zapałkę, widziałem go tuż, a jego światło nie pozwoliło mu zobaczyć mnie.

Widziałem na drodze wozy dwa pełne ludzi. Słyszałem, jak jeden z mężczyzn prosił czuwającego zbója nad nimi, aby mu pozwolił zapalić papierosa, lecz powiedział mu krótko a ostro — nie wolno. Inny prosił, aby synowi, który jedzie za nimi, nie robili krzywdy, towary wszystkie mogą zabrać — odpowiedź: — my wiemy, co mamy robić!

Przeżywałem naprawdę ciężkie chwile, lecz za każdą minutę nawet takiego życia dziękowałem Bogu. Po jakimś czasie pocieszałem się, że znudzi się opryszkom to dość długie poszukiwanie mnie napróżno. Lecz

gdy wrócili na drogę, nie znalazłszy mnie, na nowo wypytują jeszcze raz furmana, gdzie się znajduję, grożąc mu śmiercią. Głośno odpowiadał, że nic nie wie, co się tu dzieje, kto strzelał i gdzie ksiądz może być. Czy po cichu im pokazał, gdzie leżę, czy też sami zauważyli, dość, że bez komendy rozchodzą się, okrążają mnie na nowo i po krótkiej chwili jeden z bandytów trąca mnie w nogi i mówi: „towarzyszu, dlaczego się nie odzywasz?" Sądził widocznie, iż to leży jeden z rannych. Lecz w tejże chwili komenderuje: „wal go". Momentalnie zerwałem się na nogi, obróciłem się i strzelam prosto w piersi komenderującemu, przyłożywszy prawie lufę rewolweru. Pada na ziemię, lecz spostrzegam może o 5—8 kroków innych dwóch, którzy przyklękli i mierzyli do mnie z dubeltówek. Strzelam do nich ostatnimi kulami. Przewrócili się także. Czy ich trafiłem, nie wiem; zawołałem tylko: „ja was tu jak kaczki wystrzelam wszystkich". I rzuciłem się do ucieczki w stronę przeciwną równolegle z drogą. Gdy ubiegłem jakieś 50—60 kroków, słyszę że do mnie strzelają z dubeltówek i rewolweru. Uczułem jakby silne uderzenie w plecy, kark i nogi. Zabolała mnie najwięcej lewa ręka, tak że opuściłem ją bezwładnie.

Płaszcz mi ciężyi zaczepia się o drzewa. Zrzucam go na ziemię z ramion i biegnę czym prędzej do gęstwiny, którą przeczuwam przed sobą, sądząc z ciemniejszego koloru. Po chwili już siedziałem w gąszczu świerczyny. Byłem spokojny, ale tak zmęczony, że dłużej kilku kroków już bym biec nie mógł.

Zbóje widocznie byli przekonani, iż padłem od ich strzałów, gdyż nie pognali za mną od razu, co mi też pozwoliło niespostrzeżenie dobiec do gąszczu i ukryć się w nim. Dopiero po paru minutach słyszę niedaleko od siebie przekleństwa różne, że im znowu się wymknąłem. Szukali mnie czas jakiś na nowo, chodzili tak blisko owej gęstwiny, że nie tylko kroki, lecz i oddech ich słyszałem dokładnie. Nie mogłem poruszyć się zupełnie, gdyż suche gałęzie świerczaków i liście dębczaków szelest czyniły tak wielki, że mogły mnie zdradzić od razu, a cisza była taka, że spadające kolki z drzew słyszałem.

Byłem bezbronny, gdyż wystrzeliłem wszystkie naboje. Postanowiłem się bronić dalej choćby pustym rewolwerem i małym scyzorykiem, gdyby pojedyńczo nachylony zbój do mnie chciał się przedostać. Oczekiwałem w takiej niepewności i napięciu nerwów przeszło 2 godziny. Słyszałem naszczekiwanie psów i pianie kogutów z Lękińska. Wyjść się obawiałem, choć mi tam było bardzo niewygodnie, bo przypuszczałem, że przy tej kępie krzaków został który zbój na straży. Po jakimś czasie usłyszałem, jak zatrzymali przejeżdżającą furmankę i bardzo bili żyda, domagając się od niego więcej pieniędzy.

Już przypuszczałem, że, o ile mnie nie odnajdą, wypadnie mi tak siedzieć i czekać do rana; naraz słyszę, jak jeden z zatrzymanych mówi: „zakładać konie!“ — „Kiedy jeszcze komendy nie było!“ — „Co to jest, zakładać konie i basta!“ — Tak to podziałało na wszystkich, że w parę minut przy wielkim hałasie pojechali do Lękińska.

Jak się okazało potem, bandyci zabrali od zatrzymanych coś trzy worki i parę derek, widocznie dla przeniesienia rannych czy zabitych, i bez wydawania rozporządzeń dalszych zniknęli z przed oczu ograbionych. O tym nic nie wiedziałem, więc w dalszym ciągu siedzę w tym gąszczu, nie ruszam się, bo myślałem, że około tej kępy czuwają dalej, aby się pomścić na mnie, gdy wyjdę.

Po kilkunastu minutach słyszę z Łękińska szczekanie psów i wielki hałas. Domyślałem się, że dojechali do wsi, ks. Bartłomiej Michalski, proboszcz Łękińska dowie się o napadzie na księdza, to nadeśle wkrótce jakąś pomoc. Tak się też stało. W jakieś 3 kwadranse zatrzymuje się furmanka na drodze w miejscu napadu, ludzie z latarniami zaczynają mnie szukać. Był z nimi i mój woźnica, więc wskazywał miejsce, gdzie słyszał w lesie strzały. Niedługo znaleźli jeden kalosz, potem płaszcz, który zrzuciłem. Gdy byli niedaleko gęstwiny, w której siedziałem, odezwałem się głośno, uważając gdzie umknąć, gdyby do mnie dobierali się bandyci. Wystraszona odsiecz była więcej, niż ja, bo zaraz nawołują się — z fuzjami chodźcie tu bliżej! Myślę sobie, bandyci mi nie wiele krzywdy zrobili, ale obrońcy mogą mnie dobić. Na pytanie, kto tam jest? odpowiewiedziałem — ksiądz i wybiegłem do nich z gąszczu. Witali mnie jak wracającego z tamtego świata. Odpowiedziałem im, że nie jestem ranny i ku wielkiej uciesze, zabrawszy płaszcz, torebkę z rzeczami z której nic oprócz mydła nie zginęło, ruszyliśmy do bryczki. Ponieważ wszyscy chcieli ze mną jechać, a było ich ze 20 osób, bryczka się załamała, tak że wszyscy szliśmy piechotą. Nadchodziła północ, a pić mi się bardzo chciało, napiłem się jeszcze u gajowego wody, bym mógł rano odprawić Mszę św. na podziękowanie Bogu i Świątobliwej Królowej Jadwidze za to wprost cudowne ocalenie.

Ks. proboszczowi zrobiłem podwójny zawód. Spodziewał się przyjazdu kursowego kolegi, ks. Gruchalskiego i w dodatku rannego, a tu zjawiam się ja i w dodatku nie ranny. A stół operacyjny i felczer był gotowy do odbycia operacji... Było też 2 strażników policyjnych. Mieli już gotowe depesze do naczelnika straży ziemskiej w Piotrkowie o napadzie na ks. Gruchalskiego. Z ledwością uspokoiłem ich, że ks. kanonik śpi spokojnie w Włocławku, a za niego ks. biskup mnie wysłał i ja natknąłem się na tych zbójów, ale wyszedłem cało.

Ponieważ choć zmienione depesze strażnicy postanowili wysłać do Kamieńska, dałem im od siebie depesze do ks. biskupa, do Księgarni Powszechnej i do siostry, od której wracałem, aby zapobiec fałszywym wieściom, jakie mogły się rozejść przed moim powrotem.

Po wyjściu policjantów rozmawialiśmy z ks. proboszczem i częścią obrabowanych prawie do czwartej nad ranem. Obawiałem się, choć nie przyznawałem się do tego, teraz więcej zemsty pozostałych bandytów, niż w czasie samego napadu, bo zwykle za opór zbrojny „karali" śmiałków, a tu w plebanii nie było okiennic, ks. Michalski miał fuzję i rewolwer bez nabojów, jak i ja, więc sytuacja nie była miłą i wesołą. Dowiedziałem się od obecnych szczegółów napadu. Około godziny 6 wieczorem wracało kilka furmanek dworskich z Kamieńska od odstawy zboża. Jechali sami mężczyźni, było nawet dwóch gajowych z nabitymi dubeltówkami. Jednak tak się zgapili, że pozwolili się rozbroić i odebrać sobie broń i pieniądze. To samo było z członkami sklepu spółkowego i całym szeregiem innych wozów. Obrabowanych spędzali zbóje na dwa wozy pod straż dwóch bandytów i tak zebrało się samych mężczyzn 29.

Nawet im do głowy nie przyszło, że mogli upatrzyć przez tyle godzin odpowiednią chwilę, rzucić się na stojącego tuż przy skrzyni zbója, rozbroić go i bronić się skutecznie. Sami przyznali, że to mogło być wykonane, lecz im do głowy nie przyszło.

Bandytów było coś 12. Uzbrojenia dobrego nie mieli, posługiwali się w strzelaniu do mnie dubeltówkami, odebranymi gajowym. Pieniędzy ludziom zabrali sporo. Obejrzeliśmy mój płaszcz, wyglądał jak rzeszoto, cały postrzelany. W samym kołnierzu znaleźliśmy przeszło 15 śrucin wiszących na wacie, którą wyciągnęły z kołnierza podwójnego. Przy rozbieraniu się przed spaniem przekonałem się, że nie tylko płaszcz, palto, suknia, podsutannik, lecz i bielizna była przebita, a śruciny zatrzymały się na skórze. Jedna tylko śrucina weszła mi w lewą rękę powyżej łokcia i spłynęła do wielkiego palca po tylu latach...

Rano bez żadnego skrupułu, gdyż strzelałem w obronie swego życia w koniecznej potrzebie, odprawiłem Mszę św. z wielkim przejęciem i pobożnością. Było za co dziękować Panu Bogu.

Sprawę zleconą przez ks. biskupa załatwiłem pomyślnie. Po południu przyjechał naczelnik straży ziemskiej, obejrzeli miejsce, gdzie się broniłem i ukryłem skutecznie, znaleźli część awizacji sądowej, którą tamował sobie jeden z rannych krew, a ponieważ był na niej numer, odnaleźli podejrzanych. Kilku siedziało w areszcie w Piotrkowie, czterech z podejrzanych brakowało w okolicy — przypuszczali sąsiedzi, że zostali ranni lub zabici i „towarzysze" ich w zabranych workach potopili. Sprawa

ciągnęła się do wybuchu wojny, a w czasie wojny podobno zostali wypuszczeni na wolność.

Najciekawsze z tej całej sprawy, że ani razu nie zapytano mnie, czy mam pozwolenie na noszenie broni, jak to było w zwyczaju, a nawet naczelnik dał mi trzy naboje zaraz u proboszcza.

Po dwóch dniach wróciłem do Włocławka, po którym kursowały rozmaite wieści o tym napadzie. Złożyło się tak szczęśliwie, że ks. biskup odprawił Mszę św. w Seminarium i potem był w refektarzu na herbacie, gdzie zgromadzili się wszyscy księża profesorowie, więc raz tylko wystarczyło opowiedzieć o całym przejściu, co mnie więcej męczyło, jak samo przejście.

Ks. Gruchalski uroczyście podziękował ks. biskupowi, że go nie wysłał, gdyż on by umarł napewno, a inni koledzy winszowali mi takiego obrotu rzeczy, ale w szczerości pocieszali niektórzy, że mi to bezkarnie nie przejdzie, albo pozostali bandyci mnie odnajdą, albo odbije mi się na zdrowiu.

Ponieważ pracy zaległej było w Księgarni dużo i pracowałem do 11 i 12 w nocy, chcieli mnie pracownicy odprowadzać do mieszkania — a mieszkałem w Kolegium, lecz na to się nie godziłem, by nie narażać kogoś więcej, jeśli mnie ma coś spotkać. Nosiłem coprawda gotowy większy rewolwer w kieszeni, przechodziłem na drugą stronę ulicy, gdy ktoś szedł nieznany naprzeciw, lecz niewiele sobie z tego robiłem. Po tygodniu jednak takiego rodzaju „pociechy", że mnie zemsta zbójów nie minie, drażnić mię zaczęły coraz więcej. Napisałem do siostry i mego przyjaciela, aby przyjechali do mnie na kilka dni, dałem sobie „urlop" na tydzień i wszystko minęło dobrze, o wszystkim grożącym mi zapomniałem.

Rozumie się i wtenczas i obecnie to cudowne wprost ocalenie, tę przytomność umysłu, ten spokój w czasie takiego niebezpieczeństwa przypisuję nadzwyczajnej opiece Pana Boga za wstawiennictwem Świątobliwej Królowej Jadwigi, którą od dawna prywatnie czczę jako świętą i od której w życiu wiele łask doznałem.

BIBLIOTEKA
Wyższego Seminarium Duchownego
w SANDOMIERZU
45704